NOWINY TYGODNIA

Dodatek społeczno-kulturalny „Nowin Rzeszowskich"

Nr 2 (395) — SOBOTA 11. I 1958 r.

FILON BEZ FUJARKI,

CZYLI

O INSCENIZACJI „BALLADYNY" W PAŃSTWOWYM TEATRZE IM. SIEMASZKOWEJ

EDMUND GAJEWSKI

„Festina lente". Bierz przykład ze mnie — mówiła w przystępie dobrego humoru pewna urocza osóbka, której los przeznaczył staropanieństwo. Zacne nauki tej rozumnej białogłowy doceniłem znacznie później. Dziś „spieszę się powoli". Coś jest modne, nowe, wszyscy: hura! Brawo! — ja powolutku hu-ra-bra-wo. Może właśnie dlatego ulegam pewnym ciągotom tradycjonalizmu — przepraszam za „izmy" ale nie jestem również przeciwnikiem konwencjonalizmu. Mimo wszystko zasługuję na rozgrzeszenie i nic na to nie poradzę, że nie mam pretensji do plastyka postimpresjonisty za to, że nie jest taszystą, choć to podobno u nas modne. Gdzie indziej już nie. Słowo, — jakie chcecie, że chętnie zobaczyłbym „Owcze źródło" wystawione według tradycyjnych wzorów, ale w poprawnym wykonaniu.

Po takim heretyckim wstępie mogę na całego korzystać z taryfy ulgowej i pominąć kilka szumnych banałów, które zwykło się przy „takich" uroczystych i nieuroczystych okazjach aplikować czytelnikom. Zapewne, nadanie teatrowi rzeszowskiemu imienia Wandy Siemaszkowej połączone z uroczystym wystawieniem „Balladyny" — Słowackiego jest zupełnie wystarczającą okazją do truizmów. Dodajmy: inscenizacja ma ambicje nowatorskie.

Zbyt żywo stoi mi jednak przed oczami recenzja Boya z „Balladyny" (Teatr im. Bogusławskiego 1924 r.) za bardzo zazdroszczę autorowi „Słówek", jego „dyletantyzmu" teatralnego, aby przestawiać się na wysokie C. Bo cóż to za cudowny „dyletant", który tak dobrze znał tajemnicę doskonałości teatru. On jak niewielu przed nim zdawał sobie sprawę, że zagadnienie aktualności dla teatru, dla utworu dramatycznego jest sprawą pierwszej wagi.

Tak zwana twórczość klasyczna posiada przedziwną i niezwykłą siłę żywotną; nie starzeje się! Problemy ogólnoludzkie zawarte w tych dziełach są wciąż aktualne. Toteż unowocześnianie ich uważam za tak samo zbyteczne, jak pewien szkodliwy styl inscenizacji, który traktował twórczość klasyków jako archiwalne dokumenty.

Widz ma prawo do pofantazjowania, do kojarzenia pewnych wrażeń, odbieranych ze sceny z własnymi problemami, które go nurtują. Grabiec, choćby nie wiem jak odsuwał tę myśl od siebie, przypomina mi pewnego dobrego znajomka, z wiary chłop, tęgi rubacha za kołnierz nie wylewa. Dlatego wydaje mi się, że inscenizacja, która przemawia do wyobraźni widza, która zbliża go do sztuki, pomaga mu odpowiedzieć na nurtujące go pytania — jest twórczą, dobrą. Nie będę zastanawiał się, czy te warunki spełnia inscenizacja „Balladyny" w Państwowym Teatrze im. Siemaszkowej. Nie czas jeszcze stawiać kropkę nad i. Poważnym wykładnikiem, którego nie można nie uwzględniać będzie również i frekwencja.

Z tych rozważań łatwo się domyśleć, że nie jestem entuzjastą, tak zwanego eksperymentowania w teatrach prowincjonalnych. Nie sądzę, aby utrudniło mi to podzielić się z czytelnikami obiektywnie swoimi uwagami o tej premierze. Inscenizacja i reżyseria „Balladyny" przez HUGONA MORYCIŃSKIEGO, bezsprzecznie jest nowatorską. Nie trudno to odczytać. Złożyło się chyba na to wiele przesłanek: zerwanie z tradycyjnym podziałem na świat realistyczny i baśniowy, ujęcie głównej postaci wysuwa przedstawieniu rzeszowskiemu na plan pierwszy problem władzy i walki o władzę. Ogólnie trudno nie zgodzić się na takie założenia, uwzględniając najnowsze opracowanie krytyczne o „Balladynie" Kubackiego.

Nie wiem i nie mogę powiedzieć jaki w tych założeniach był udział indywidualności utalentowanego scenografa JERZEGO SZESKIEGO. Ale funkcjonalna rezygnująca z realizmu szczegółów, syntetyczna w swym poetyckim wyrazie scenografia Szeskiego tak czy inaczej musiała zaważyć na kształcie scenicznym przedstawienia.

Na nic nie zdały się zarzekania, jeszcze kilka zdań a wziąłbym po amatorsku wysokie C. Z dwojga złego wolę trochę poplotkować.

Jedna pani po premierze też zauważyła, że „Balladyna" — jest nowa", była z tego cała gadka z drugą panią. Ta pierwsza pani gotowa byłaby przebaczyć Filonowi, że nie gra już na fujarce, Kirkorowi, że skrzydła huzarskie oddał do muzeum jako rekwizyt, nie mogła jednak darować Pustelnikowi, że ten hultaj się goli (taki to i do kieliszka może zaglądać).

Bądźmy pobłażliwie wyrozumiali dla tej pani i tej drugiej. Bo jeśli jest więcej takich pań i panów...? Stop! Nie należy mnie posądzać o złośliwość. Pseudożartami nie chcę zbyć wysiłku teatru i przywołuję się do porządku.

Nie ulega wątpliwości, że w ramach ogólnego założenia inscenizacyjnego możliwy jest wybór wielu realizacji. Decyduje o tym indywidualność reżysera, aktora, scenografa, a również wybór elementów bogatej rzeczywistości. Porozmawiajmy więc o realizacji rzeszowskiego przedstawienia. Interpretacja niektórych ról dostarcza nam ciekawego materiału do dyskusji.

Jak wiemy choćby z programu, Siemaszkowa dobitnie podkreślała chłopskie pochodzenie Balladyny „uwydatniała żywiołowość tej krwawej dziewki". ZOFIA MELECHÓWNA w przeciwieństwie do tradycyjnych ujęć przeprowadza próbę rehabilitacji Balladyny. Nie wrodzone złe instynkty kierują bohaterką dramatu. Droga do królewskiego tronu, bez względu na środki, które poniekąd są ilustracją stosunków feudalnych, jest konsekwentnie i niezłomnie realizowana. Celem są sprawiedliwe rządy, ale cel „nie uświęca środków". Takie ujęcie roli na pewno jest nowe i słuszne. Będę się spierał jednak o pewne niebłahe szczegóły.

W „Balladynie" wyraźnie stylizowanymi postaciami ludowymi są wdowa i Alina. Pewne elementy ludowe zaznaczone są również w mowie głównej bohaterki. Z tekstu niedwuznacznie wynika, że Balladyna chce zapomnieć o swym wieśniaczym stanie. Balladyna wypiera się matki nie dlatego, że jest złą córką, ale że ówczesne stosunki i jej nowa pozycja społeczna nie pozwalają jej być dobrą córką dla matki - wieśniaczki.

I oto pewna niekonsekwencja. W scenie III aktu I Melechówna zaciera chłopskie pochodzenie Balladyny i już wyraźnie podkreśla wyrachowanie bohaterki, która kieruje się określonym celem. Nie sądzę, aby takie opracowanie roli zbliżało widza do problemu (walka o władzę). Wręcz odwrotnie, trudno mi uwierzyć, że młodej, wiejskiej dziewczynie śnią się sny o potędze sprawiedliwej władzy. Balladyna w chacie swojej matki marzy raczej o awansie społecznym. Jedyną drogą, która prowadziła do tego celu jest małżeństwo z bogatym księciem (stosunki feudalne). Nie wątpię natomiast, że na zamku Kirkora mógł zrodzić się „sen o władzy", realizowany konsekwentnie do końca. Może właśnie dlatego Balladyna w pierwszych scenach zatraciła naturalną, ludzką prostotę.

Ciekawie odtworzył rolę moralisty Pustelnika WITOLD GRUSZECKI, podkreślając drapieżność zdetronizowanego króla, stróża feudalnej tradycji. Nie zatraciła prostoty i serdeczności IRENA CHUDZIKÓWNA jako Alina. Na uwagę zasługuje wykonanie roli Chochlika i Skierki. LIDIA DZIEWIORSKA (Chochlik) w pełni oddała czar duszka w stylu opowieści ludowej, a ELŻBIETA KILARSKA (Skierka) poetyczność i lotność dworskiego pazia. Głęboko wzruszała jako Matka, zwłaszcza w ostatniej scenie MARIA KASSOWSKA. ZDZISŁAW KOZIEŃ jako Grabiec sądzę, że byłby zabawniejszy gdyby nie wypadek, jakiemu uległ przed premierą. Nie podobał mi się rzeszowski Kirkor — JAN TESARZ. Zdaję sobie sprawę, że jest to dramatycznie dość wątła rola, ale mimo wszystko ten błędny rycerz „naprawiacz wszystkiego bezprawia" nie powinien przypominać zadufanego w sobie „domorosłego pieniacza. Filon — ALEKSANDER POLEK nie potrafi jakoś nawiązać kontaktu scenicznego z partnerami. Nie wiem czemu przypisać również stylizację kostiumu Filona „pod Słowackiego" (nie chodzi mi o „wąski spodeń"). Taka sylwetka może sugerować, że Słowacki w tej postaci zamknął swój autoportret. O zubożeniu bogactwa wiersza Ballandyny przez złą wymowę (dykcja, rytm) muszę wspomnieć dla spokojnego sumienia. Grzech wielu przedstawień w naszym teatrze. O muzyce JANUSZA AMBROSA jako dyletant mogę powiedzieć, że bardzo się podobała i nie tylko była ilustracją spektaklu.

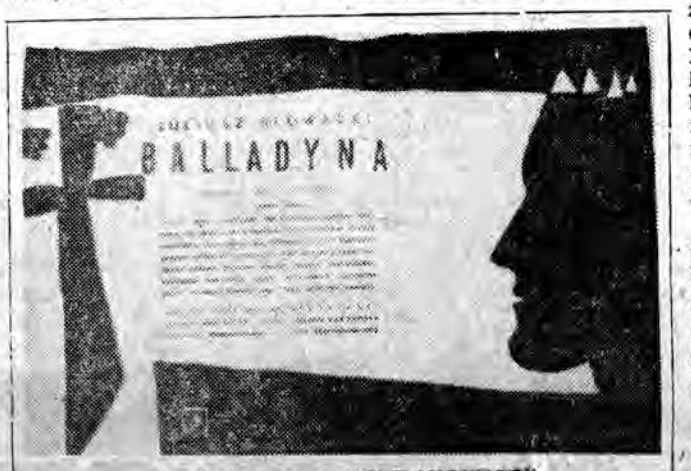

PLAKAT — L. E. HOŁDANOWICZA
Foto — L. Kołjewicz

BALLADYNA — Zofia Melechówna
MATKA — Maria Kassowska
Foto — A. Drozdowski

„Balladyna" Juliusza Słowackiego premiera w Państwowym Teatrze im. Siemaszkowej w Rzeszowie. Muzyka Janusz Ambros. Inscenizacja i reżyseria: Hugon Moryciński. Scenografia: Jerzy Szeski. Kostiumy: Salomea Gawrońska. Asystent reżysera: Bohdan Czechak. Kierownictwo literackie: Jerzy Pleśniarowicz.

Osoby:

Pustelnik — Witold Gruszecki, Kirkor — Jan Tesarz, Matka — Maria Kassowska, Balladyna — Zofia Melechówna, Alina — Irena Chudzikówna, Filon — Aleksander Polek, Grabiec — Zdzisław Kozień. Fon Kostryn — Janusz Kilarski, Gralon — Wincenty Zawirski, Kanclerz — Stefan Buczek, Poseł — Józef Jachowicz, Lekarz — Marian Koc, Burmistrz — Leszek Bieńkowski, Pierwszy z panów — Stefan Michułowicz, Szlachcic — Klemens Roman, Żołnierz — Tadeusz Krasnodębski, Goplana — Henryka Rodkiewicz, Chochlik — Lidia Dziewiorska, Skierka — Elżbieta Kilarska, Wieśniaczka I — Stanisława Rylska, Wieśniaczka II — Barbara Denys, Goniec — Bohdan Czechak.

GRABIEC — Zdzisław Kozień
GOPLANA — Henryka Rodkiewicz
Foto — A. Drozdowski

BALLADYNA NA SCENIE (I)

(Kartki z dziejów teatru)

ZE WSZYSTKICH utworów dramatycznych Juliusza Słowackiego najczęściej wystawiano „Balladynę". Nic też dziwnego, że posiada ona obszerną i bogatą historię sceniczną, tworzącą osobny rozdział w dziejach naszego teatru ostatnich dwu stuleci. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat w „Balladynie" święciły triumfy najwybitniejsze nasze artystki, wielkie kreacje stworzyli znakomici aktorzy; kilkakrotnie też dramat Słowackiego pobudzał reżyserów, scenografów do ciekawych i śmiałych pomysłów inscenizacyjnych.

Ale zanim „Balladyna" stała się ulubioną sztuką aktorów i publiczności, musiała dość długo czekać na pierwszą realizację. Po raz pierwszy wystawiono „tragedię podobną do starej ballady" we Lwowie — 85 lat temu — 7 marca 1862 roku, czyli w 23 lata po ogłoszeniu drukiem.

Kiedy doszło wreszcie do prapremiery, nie przyniosła ona sukcesu ani poecie, ani wykonawcom. Przeciwnie — lwowski spektakl zakończył się generalną klęską. Udzielmy zresztą głosu widzowi i krytykowi, autorowi pierwszej monografii o Słowackim — Antoniemu Małeckiemu, który w ten sposób ujmuje przyczyny niepowodzenia:

„Że... dano ją wtedy bez żadnych zaokrągleń i skróceń, trwała wtedy reprezentacja zbyt długo, a publiczność niecierpliwiła się i odeszła do domu nie bardzo zadowolona z tego wieczora. Mogły się do tego przyczynić i rażące niedostatki w dekoracjach i maszynerii, którą na prędce bez wielkiego zachodu sporządzono z tego, co było pod ręką...".

W lwowskiej prapremierze **Balladynę** grała **Paulina Targowska, Matkę — Aniela Aszpergerowa;** znany amant z teatru Pfeiffra — **Ignacy Kaliciński** wystąpił w roli **Kirkora.** Niestaranne przygotowanie przedstawienia i rażące braki w dziedzinie gry aktorskiej sprawiły, że „Balladyna" padła po jednym przedstawieniu.

Znacznie lepiej wypadła krakowska premiera „Balladyny" za dyrekcji Koźmiana w 1838 roku. W roli tytułowej podziwiano najlepszą wówczas aktorkę sceny krakowskiej — **Antoninę Hoffman,** jako **Goplana** wystąpiła wybijająca się dopiero **Helena Modrzejewska.** „Balladyna" krakowska wywołała żywe zainteresowanie, osiągając w sezonie 3 przedstawienia.

Następne lata przynoszą wznowienie we Lwowie (1872 r.) — z muzyką kompozytora **Henryka Jareckiego** i „nowymi specjalnie dla utworu malowanymi dekoracjami" **Fabiańskiego,** co wówczas było w teatrze rzadkością. Afisz podaje nazwiska najlepszych aktorów lwowskich z **Teofilą Nowakowską** (Balladyna), **Aszpergerową** (Matka), **Marią Desyną** (Goplana) oraz **Stanisławem Dobrzańskim** (Grabiec) i **Bolesławem Ładnowskim** (Kostryn) na czele. Tym razem spektakl ogólnie się podobał, a według relacji Stanisława Peptowskiego — *„mimo że przedstawienie trwało do godziny pierwszej po północy, trzy z rzędu przedstawienia były natłoczone publicznością i przez długi czas „Balladyna" jako sztuka niedzielna była jedną z najsilniejszych atrakcyj".*

Duże opory miała do pokonania „Balladyna" w Warszawie, gdzie większość utworów Słowackiego należała do zakazanych przez cenzurę. Nie wolno było nawet wprowadzić na afisz nazwiska poety i przy wystawieniu „Mazepy" trzeba było ograniczać się do kryptonimu J. S. Mimo to jednak podejmowano najrozmaitsze próby wystawienia „Balladyny". Bezskutecznie prowadził tę akcję Henryk Sienkiewicz, w teatrze łódzkim usiłował przemycić „Balladynę" pod tytułem „Dzbanek malin" dyr. Wołowski. Dopiero 17 marca 1907 roku udało się zrealizować „Balladynę" na niedzielnym poranku w Teatrze Rozmaitości — z Heleną Marcello-Palińską w roli tytułowej i Mieczysławem Frenklem jako Grabcem.

Przełomowego znaczenia dla dalszych interpretacji utworu nabiera oryginalna inscenizacja „Balladyny" w Teatrze Polskim w Warszawie (1914 r.), jaką przygotował malarz Ferdynand Ruszczyc. Ale o tym — następnym razem.

JERZY PLEŚNIAROWICZ

GEORGES LAGOUTTE — NOWELA

Złoczyńca

STRAŻNIK Ribier wprowadził się już dwa miesiące temu do domku w Pigaux, ale żona jego dotychczas nie przyzwyczaiła się do nowej siedziby. Co prawda, dla strażnika było to miejsce wymarzone. Furtka w płocie za domem prowadziła na drogę, biegnącą dołem przez łąki nad Loarą. Od drugiej strony wystarczyło przeskoczyć strumień, by znaleźć się na górnej drodze; tu i tam wysokie zarośla chroniły od ludzkich oczu. Dla kobiety jednak, zwłaszcza dla żony strażnika, którego nigdy w domu nie ma, miejsce takie wcale nie jest przyjemne. Toteż Ribier zalecał żonie, by o zmroku ryglowała drzwi. Lepiej zachować ostrożność, gdy pełno w okolicy włóczy się na swych wózkach wędrownych koszykarzy, ścinających sitowie na bagnistym brzegu Loary, a chciwych zarówno łoziny jak przepiórek lub królików, nie gardzących również kurą, spotkaną w opłotkach. Słowem, lepiej być ostrożnym.

Tego dnia idąc jak zwykle na obchód, Ribier trafił na świeży ślad obozowiska tych Cyganów, którzy noc spędzili pod Font-Claude. Idąc po tropach i rozglądając się bystro, znalazł oczywiście tu i tam sidła, zastawione i zapomniane pod gałęziami, gdy zwijano obozowisko. Sądząc ze śladów na wydeptanej trawie, musieli wziąć co najmniej jednego zająca i osiem królików. Ribier, zirytowany szkodą, postanowił dobrze otwierać oczy, zwłaszcza przed jarmarkiem w Dampierre, przypadającym w następnym tygodniu. Króliki, złowione tej nocy, pewnie już rozsprzedano farmerom osiadłym przy szlaku, a co do zająca, to można było oszczędzić sobie trudu węszenia zapachu z garnka na najbliższym popasie włóczęgów.

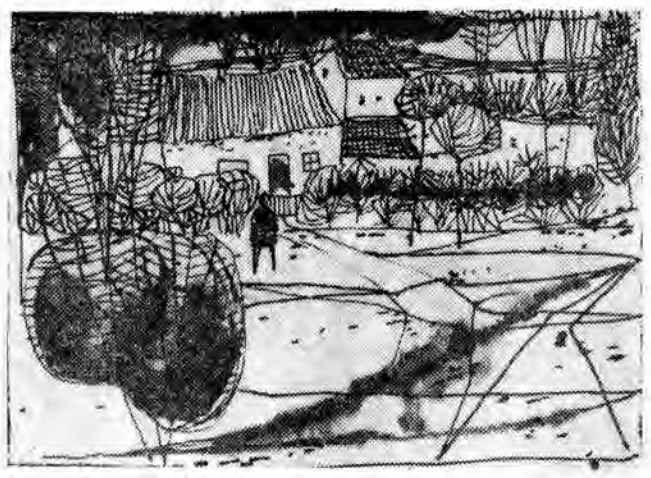

Dla spokoju sumienia Ribier poszedł śladem wozu aż do gościńca. Kto zgadnie, gdzie się powlekli? Dziś obozują tu, jutro o dziesięć mil dalej, w Charolles, Bourbon czy Jaligny. Ribier skręcił ku lasom, ciągnącym się przez trzy kilometry wzdłuż gościńca — co nie ułatwiało nadzoru.

DNI bywają krótkie w listopadzie, a właśnie zbliżał się dzień świętej Katarzyny. O czwartej zmierzchało już, gdy strażnik schodził drogą spod Brosses. Przy pierwszych domach miasteczka natknął się na dzierżawcę z Sirets, który, nie mając opału, chciał nazajutrz o świcie zwieźć trochę drzewa z poręby w Railles. Ribier musiał wrócić na porębę, aby naznaczyć sągi, tak, że noc zapadła, gdy wreszcie przeszedł strumyk.

W domu w Pigaux pies ujadał niezmordowanie i Ribier pomyślał, że pewnie lis znowu kręci się w jeżynach pod płotem. „Warto by zastawić sidła" — rzekł sobie. Rozważał jeszcze ten zamiar, gdy mijał zagrodę na łące i dosłyszał szczekanie ściganego lisa. Pies, poznając głos pana, przycichł i tylko skowyczał radośnie. Ribier słyszał w ciemnościach, jak psisko drapie budę.

Julia była bardzo niespokojna. Odkąd mrok zapadł, pies nie przestawał szczekać, z pyskiem zwróconym ku górnym łąkom. Nawet koza, czymś spłoszona, węszyła trwożnie. Ribier pomyślał o włóczęgach, ale wiedział, że są zbyt mądrzy, by ryzykować powrót na miejsce, gdzie poprzedniej nocy kłusowali. Chcąc uśmierzyć obawy żony, opowiedział jej o lisie i o tym, że chce zastawić na niego sidła. Gdy kończył wieczerzę, Bolo znowu zaczął ujadać tak gwałtownie, że Ribier uchylił drzwi i wyjrzał. Noc była ciemna choć oko wykol i cicha, bez najmniejszego powiewu wiatru. Ribier wyszedł aż do ogrodzenia, uciszył psa, chwilę nasłuchiwał, po czym wrócił do domu, pomstując na żonę, która zapomniała kupić mu nową żarówkę do kieszonkowej latarki.

Położyli się do łóżka, lecz nie minęło dziesięć minut, gdy harmider zaczął się na nowo. Bolo szczekał tak wściekle, jak gdyby diabeł we własnej osobie pluł mu w pysk. Nie było wątpliwości: ktoś włóczył się koło domu, i to nie zwierz leśny, bo ani lis, ani tchórz nie podchodziłby tak uparcie, nie zważając na psie ujadanie. Trzeba było rzecz wyjaśnić. Ribier, zły, że mu licho spać nie daje, ubrał się nie zapalając światła, z głową ciężką od snu.

Julia natomiast tak była rzeźka, jakby wcale jeszcze nie zdążyła się rozespać. Bała się nie na żarty i spytała męża, czy naprawdę chce ją samą zostawić. Ribier na wszelki wypadek, wsunął rewolwer do kieszeni i w starych sabotach wymknął się z domu, polecając żonie cicho zaryglować za nim drzwi. Zresztą Bolo, dusząc się nieomal w ataku furii, zagłuszał szczekaniem wszystkie szmery. Ribier znalazł się za progiem w gęstych ciemnościach, które lgnęły mu do skóry, przejmując wilgotnym chłodem listopadowej nocy.

Bolo od razu przestał szczekać, jakby uspokojony obecnością pana. Zapadła cisza dziwnie denerwująca, zakłócana jedynie głośnym sapaniem psa, który od czasu do czasu warczał głucho. Ribier wsłuchiwał się w noc usiłując pochwycić jakiś znamienny szmer. Kury budząc się w kurniku zagdakały czasem głośno, w zaroślach metalicznym głosem pisnęła łasica. Jasne było, że czyjaś niezwykła, wroga obecność budzi czujność zwierząt, z gospodarzem bowiem oswoiły się już dobrze.

Ribier, w pełni sił męskich, niełatwo ulegał trwodze, a mając w kieszeni swoją pukawkę nie bał się — jak mawiał — ludzi ani zwierząt. Lecz niesamowity nastrój przedłużając się zdołał go jednak podrażnić i w tych nieprzeniknionych ciemnościach strażnik czuł, jak myśli w głowie mącą mu się, goniąc jedna drugą niby w oszalałym kołowrocie. Któż to krążył od dwóch godzin koło jego domu, najoczywiściej w złych zamiarach? Ribier, o ile mu było wiadomo, nie miał w okolicy wrogów, jakkolwiek nieraz przyłapywał na gorącym uczynku przybłędów z Roanne, drapichrustów, wyrzutków, próbujących kłusować, zwłaszcza w przeddzień świąt, by potem sprzedać zwierzynę w hotelach Vichy. Może któryś z kłusowników śledził strażnika, planując jakiś grubszy zamach w lesie? Ale pora nie była zbyt sposobna. Ribier krok za krokiem, ostrożnie, by żwir nie zachrzęścił mu pod nogami, posuwał się w mroku aż do ogrodzenia, omackiem szukając przed sobą palików płotu. Dalej, z lewej strony, szumiała Loara. Ribier słuchał długo, z wzrastającym niepokojem. Wyczuwał w ciemnościach czyjąś obecność. Ktoś stał nieruchomy o kilka kroków stąd, na skraju drogi. Był tego pewien, tą pewnością cielesną, jaką w szczególnych momentach dają człowiekowi zmysły wsparte podświadomymi, różnorodnymi wrażeniami. Ktoś tam stał, Ribier niejasno łowił uchem jego oddech, węszył obcy zapach. Noc była tak ciemna, że linia żywopłotu ledwie odcinała się od mrocznego nieba. Mimo to Ribier wychylił się naprzód, usiłując dostrzec sylwetkę, może jakiś gest. Lecz żywopłot zasłaniał mu widok. Pomyślał, że przydałoby się okrążyć dom i zajść od strony pola. Lecz to zajęłoby co najmniej pięć minut, a przez ten czas tamten mógł się również przesunąć i ukryć. Ribier postanowił otworzyć barierę i wyjść na drogę.

Ręce mają pamięć nie gorszą niż oczy. Ribier otworzył barierę myśląc jedynie o tym, by nie narobić hałasu. Znalazł się na drodze nie śmiejąc odetchnąć, o parę kroków od tamtego, który także zapewne wyczuwał obecność drugiej istoty wśród nocy, także nasłuchiwał. Ribier wsunął rękę do kieszeni, obciążonej rewolwerem.

Jak długo stał tak bez ruchu w ciemnościach, nadstawiając uszu, to wstrzymując oddech, to chwytając w płuca powietrze długim, bezgłośnym westchnieniem? Sam nie wiedział. Czuł ucisk w skroniach, przyśpieszone tętno pulsujące w przegubach rąk. Rosła w nim z każdą chwilą silniejsza ochota, by skoczyć na przeciwnika, krzyknąć pełną piersią, zrobić coś, cokolwiek, byle przerwać tę okropną ciszę, zrzucić ten lepki ciężar milczącej nocy.

Nagle tamten poruszył się w ciemnościach. Nie stał tak blisko, jak się poprzednio zdawało Ribierowi. Zdenerwowany zapewne również przedłużającym się milczącym spotkaniem, ruszył nagle wielkimi krokami w stronę Pierre, stąpając w trawie przydrożnej, żeby zagłuszyć tupot. Ribier słyszał szelest: to pies, nie szczekając, podbiegł naprzód, ile mu pozwalał łańcuch.

Ribier coraz mniej rozumiał tę dziwaczną przygodę. Nie myśląc wiele, puścił się za zbiegiem w pogoń. Tamten oddalał się szybko, długim, regularnym krokiem. Lecz w miarę jak strażnik przyśpieszał tempa, tamten zaczął biec po trawie ze zdumiewającą lekkością. Był chyba obuty w miękkie pantofle, bo ziemia pod nim dudniła głucho. W każdym razie dobrze wyciągał nogi Ribier, mimo, że uchodził za pierwszorzędnego biegacza, nie zdołał mu dotrzymać pola i z każdą chwilą dystans między nimi rósł. Ribier podpędzał jak mógł, ale tamten, mając widać słuch znakomity, zorientował się natychmiast i również pobiegł szybciej. Toteż Ribier nie zyskał nic i w tym pościgu za milczącym nieznajomym wśród nocy czarnej jak smoła, — zaczął się irytować i rozjątrzać, jak gdyby tu chodziło o jakiś zadawniony porachunek z wogiem.

Zbliżając się do trzech topól, gdzie droga skręca ostro w prawo, Ribier zorientował się, że może pobiec na przełaj, podczas gdy tamten, trzymając się wciąż tuż przy żywopłocie, musi zatoczyć łuk. Na widok pierwszej topoli, której czub zarysował się przed nim na tle nieba, zaciął więc zęby i rzucił się naprzód niby wystrzelony pocisk, by przeciąć drogę uciekinierowi. Tamten — zaskoczony tym nagłym atakiem — stanął jak wryty. Ribier, sam zasapany, słyszał teraz głośny, chrapliwy oddech przeciwnika.

Lecz w tej samej chwili dostrzegł coś, jak gdyby kij, czy może widły wzniesione nad głową nieznajomego. Cofnął się gwałtownie, gubiąc przy tym jeden z sabotów, który ugrzązł w błocie. Dobył rewolweru. „W imieniu prawa"! — wrzasnął.

Głos w ciszy nocnej zahuczał niczym grzmot, topole odbiły go echem po całej łące, aż wróciło dwukrotnie powtarzane i jakby drwiące: „W imieniu prawa... prawa"! Lecz tamten nie odpowiedział.

Ribier znowu dostrzegł wyraźnie nad jego głową coś jakby rozwidlony kij. W obliczu milczącego nieprzyjaciela zrozumiał, że nie może liczyć na jego kapitulację. Posunął się o dwa kroki błotnistym łożyskiem przydrożnej strugi.

— Cofnij się, bo strzelę! — krzyknął. Tamten milczał, tylko poruszył wzniesionymi widłami. Ribier podniósł rewolwer do strzału.

Była to staroświecka pukawka z bębenkiem, kaliber dziesięć milimetrów, z ogromnymi łuskami nabitymi czarnym prochem. Taki proch daje jaskrawy błysk, masę dymu, silny odrzut i straszliwy huk.

Toteż huknęło jak z armaty, gdy Ribier strzelił, płomień trysnął z lufy na ćwierć metra, a stary rewolwer wypluł swój ładunek z takim impetem, że Ribier aż syknął z bólu w ramieniu. Ogłuszający hałas mógł chyba zmusić cały punkt do odwrotu.

Tamten nie wytrzymał. Zdjęty widać panicznym strachem, skoczył jak szalony ponad żywopłotem i galopem pognał przez łąkę.

Galopem... I właśnie ten galop, z akompaniamentem nader charakterystycznych detonacji, uświadomił strażnikowi niezbitą prawdę: Zbiegiem, którego ścigał od kwadransa tak zawzięcie, był koń Piotra Gouly z fermy Comtes. Szkapa znana w okolicy z ogromnego wzrostu, nie dziw, że jej uszy sterczały nad żywopłotem, ilekroć podnosiła łeb.

Pech nie opuszczał tej nocy strażnika: na dobitkę zgubił drugi sabot i wrócił do domu w samych skarpetach.

Julia zaś, dowiadując się, jakiego to złoczyńcę wytropił jej mąż, dostała takiego ataku śmiechu, że nie mogła nawet lampy zaświecić. Tak to bywa, że kobieta wykpi człowieka, który dla niej głowę nadstawia.

Ilustrował A. KUD

SÓL NASZEJ ZIEMI

Wśród rozpraw zamieszczonych w ostatnim roczniku Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, zwraca naszą uwagę praca Adama Fastnachta n. t. „Pochodzenie społeczne studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego z diecezji przemyskiej w latach 1400—1642". A. Fastnacht, pracownik naukowy Ossolineum, pochodzący z Sanoka, związany z naszymi stronami również badaniami historycznymi, posiada w swoim dorobku naukowym kilka pozycji, dotyczących przeszłości Sanoka, zamku sanockiego, ziemi sanockiej. Ostatnia jego publikacja, w oparciu o metrykę uniwersytecką jako podstawę źródłową, w szerokim wachlarzu spraw, w aspekcie społecznym traktuje o ziemi przemyskiej i sanockiej, stanowiących diecezję przemyską, o szkolnictwie tych ziem, napływie młodzieży z tych stron na Uniwersytet Jagielloński, jej wędrówkach na uczelnie zagraniczne, o ludziach zasłużonych na polu krzewienia kultury polskiej, którzy stąd wyszli. Interesujące zestawienia cyfrowe, dane osobowe, statystyczne, przemyślane wnioski dopełniają całości, która chronologicznie dotyczy wieku XV, XVI i pierwszej połowy XVII.

Oto garść wybranych wiadomości. Ziemia przemyska i sanocka, we wspomnianym okresie, dostarczyła Uniwersytetowi Jagiellońskiemu 1560 studentów, co stanowiło ponad 3 proc. wobec przeszło 48 tysięcy wszystkich studentów wpisanych w tym czasie do metryki. Rzecz znamienna, studenci pochodzenia mieszczańskiego stanowili wówczas blisko 4/5 wszystkich studentów z diecezji przemyskiej. Najwięcej studentów wysyłały miasta, położone przy głównej drodze z Krakowa do Lwowa, jak Rzeszów, Łańcut, Przeworsk, Jarosław i Przemyśl oraz miasta podkarpackie, położone u wylotów przełęczy, jak Krosno, Sanok, Sambor. Prężności gospodarczej stanu mieszczańskiego towarzyszyła w XV i XVI wieku dążność emancypacyjna, prężność kulturalna. Cztery piąte synów mieszczańskich wśród ogółu studentów diecezji przemyskiej posiada swoją wymowę, świadczy o roli, jaką odegrało mieszczaństwo nasze w dobie Odrodzenia. Stosunkowo młode osady jak: Przemyśl, Jarosław, Sanok, Przeworsk, Krosno, Pilzno, Biecz wydały cały zastęp humanistów, poetów, historyków, medyków — podczas gdy stare grody małopolskie jak: Wiślica, Sandomierz, Stopnica, Olkusz, czy wreszcie sam Kraków dostarczyły wtedy niewielu i to drugorzędnych pracowników. Charakterystyczny przykład rodzinnych skłonności do studiów stanowi chłopsko - mieszczańska rodzina Draskich z okolic Tyczyna. Sebastian Draski z Lubeni, profesor uniwersytetu w Krakowie, pomagał w studiach bratankowi swojemu Adamowi Draskiemu z Błażowej, również później profesorowi. Ten ostatni znowu zapisał część swojej biblioteki studiującym na uniwersytecie bratankom.

Odsetek studentów pochodzenia chłopskiego na Uniwersytecie Krakowskim był znikomy. Gospodarka folwarczno - pańszczyźniana, ustawodawstwo antychłopskie, niski poziom szkół parafialnych po wsiach, nie stwarzały dla synów chłopskich warunków kształcenia się. Niemniej w XV i XVI wieku spotykamy jeszcze sporadycznie synów chłopskich na uniwersytecie w Krakowie jak Szymona z Beska, Michała z Iwonicza, Marcina z Haczowa, Macieja Zabojowicza z Nozdrzca, Marcina z Błażowej i innych.

Młodzież akademicka, po początkowych studiach w Krakowie, często wędrowała do innych ośrodków uniwersyteckich. Znajdujemy tam również studentów, pochodzących z naszych stron. Studiowali oni między innymi w Bolonii, Lipsku, Heidelbergu, Padwie, Bazylei. W wędrówkach tych przeważała raczej młodzież szlachecka.

Listę specjalnie zasłużonych w dziejach Uniwersytetu Jagiellońskiego — czytamy w pracy A. Fastnachta — otwiera Marcin Król z Żurawicy koło Przemyśla, ojciec krakowskiej szkoły astronomicznej, autor traktatów z zakresu astronomii, fundator katedry astronomii. Za jego życia zasłynęła już w Europie Wszechnica Krakowska z rozwoju nauk astronomicznych i matematycznych. Uczniem Króla z Żurawicy był sławny astronom Marcin Bylica z Olkusza. Jednym z pionierów Odrodzenia w Polsce był Grzegorz z Sanoka, profesor poezji rzymskiej, wychowawca synów królewskich, założyciel pierwszego w Polsce dworu humanistycznego w Dunajowie, na którym gościł między innymi humanista włoski Kallimach, autor życiorysu Grzegorza. Wybitnym humanistą i poetą był na przełomie XV i XVI wieku Paweł Proceler z Krosna. Wyszukiwał on i budził nowe talenty poetyckie. Jego uczniami, pod tym względem, byli Jan Dantyszek i Jan z Wiślicy. Wykłady Procelera o poetach i prozaikach rzymskich cieszyły się powodzeniem u młodzieży, wśród której propagował ideały humanistyczne. Współcześnie z Procelerem żył i tworzył Bernard Wapowski z Radochoniec w ziemi przemyskiej, historyk i ojciec polskiej kartografii, autor Kroniki dziejów Polski do 1535 r. i twórca pierwszych drukowanych map Polski.

Do rzędu wykładowców i profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, synów mieszczańskich należeli w pierwszej połowie XVI wieku Marcin z Leżajska, Jan z Łańcuta, Marcin z Krosna, Jerzy z Tyczyna, Jan Grodek z Sanoka. Ostatni był dziesięciokrotnie wybierany rektorem uniwersytetu. Bogaty księgozbiór dzieł prawniczych, filozoficznych przekazał on bibliotece uniwersyteckiej. Byli jeszcze i inni. Niesposób ich wszystkich wymieniać. Swoim twórczym dorobkiem stanowią oni sól naszej ziemi.

C.

LODOWY SEN

mgr JAN ZARZYCKI

W JEDNEJ ze starych fantastycznych książek opisano odnalezienie żywego człowieka, uczonego, nazwiskiem Synthèse, w... bryle lodu. Człowiek ten w stanie zamrożenia przetrwał 10 tysięcy lat, a następnie został przywrócony do normalnego życia.

W TEMPIE ZWOLNIONYM...

TO fantastyczne opowiadanie zaczęło w ostatnich latach nabierać cech prawdopodobieństwa. Badając zachowanie się organizmów żywych w obniżonych temperaturach, stwierdzono, iż w tych tak wydawałoby się niesprzyjających życiu warunkach, można zwolnić tempo procesów życiowych a jednak nie spowodować śmierci. Co więcej, zwierzęta doświadczalne w niższych temperaturach żyją dłużej. Np. żaby w wodzie o temperaturze 2 stopni mogą żyć prawie 1000 razy dłużej niż w wodzie o temperaturze 29 stopni!

Dlaczego tak się dzieje? Łatwo to zrozumieć, gdy się bliżej przyjrzeć tak pospolitemu zjawisku, jak tzw. sen zimowy zwierząt. W czasie tego snu cały organizm zwierzęcia jest nastawiony na oszczędzanie. Zapotrzebowanie energii spada do ułamka wartości normalnej. Tempo reakcji chemicznych przebiegających w organizmie, tempo przemiany materii słabnie — temperatura ciała spada do niewielu stopni powyżej zera. Obdarzony niepospolitą odwagą radziecki lekarz i myśliwy, S. Łobaczew, zmierzył 5-krotnie temperaturę ciała żywego niedźwiedzia pogrążonego w śnie zimowym. Przekonał on się, że w takich warunkach temperatura ta wynosi zaledwie 8 do 9 stopni powyżej zera!

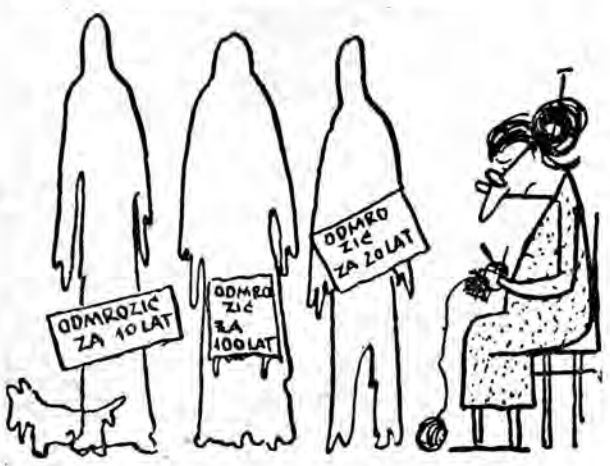

NERWY I TEMPERATURA

JAK SIĘ okazuje, obniżenie temperatury ciała związane jest ściśle z działalnością układu nerwowego. Spadek temperatury wpływa na osłabienie tempa reakcji chemicznych w komórkach nerwowych. Jednocześnie podobne osłabienie tego tempa następuje w całym organizmie. Dzięki temu ciało ma również znacznie mniejsze zapotrzebowanie na tlen niż normalnie. Oddechy stają się powolne i płytkie, prawie nie wyczuwalne. Serce bije słabo, tętno prawie zamiera.

Przebieg wszystkich tych zjawisk odbywa się w sposób naturalny i bez powikłań tylko u zwierząt ciepłozmiennych, takich jak żaby, i u tych ciepłostałych, które zapadają w sen zimowy. U innych organizmów ciepłozmiennych, a więc i u człowieka, obniżenie temperatury ciała wywołuje reakcję organizmu. Jego wyczulony układ nerwowy broni ciała przed stygnięciem. Pomimo spadku temperatury tempo przemiany materii rośnie, oczywiście, dla przywrócenia normalnej ciepłoty. Rośnie też zużycie tlenu, tętno i szybkość oddechów.

Aby więc móc bez szkody obniżyć temperaturę ciała ludzkiego, należy w jakiś sposób zahamować wyczulony układ nerwowy, wyłączyć przede wszystkim — ośrodki nerwowe, regulujące temperaturę ciała.

Jak podaje jeden z radzieckich specjalistów, docent Gubler, stosuje się w tym celu albo głęboką narkozę, albo środki nasenne i leki działające hamująco na regulatory nerwowe temperatury ciała, takie jak kurara, znana trucizna Indian południowoamerykańskich.

W WANNIE Z LODEM...

W ROKU 1951 lekarze francuscy po raz pierwszy na świecie postanowili wykorzystać praktycznie sztuczne obniżanie temperatury ciała ludzkiego. Kierowali się oni przypuszczeniem, że ochłodzenie organizmu powinno ułatwić szereg operacji chirurgicznych. To przypuszczenie potwierdziło się. Po zastosowaniu obniżenia temperatury, czyli tzw. hipotermii osiąganej praktycznie za pomocą lodu czy strumieni zimnego powietrza, istotnie zaobserwowano zmniejszenie wrażliwości organizmu. Dzięki zwolnieniu bicia serca krwotoki przy cięciach okazały się słabsze. Hipotermia wpłynęła oszczędzająco na serce i cały układ krwionośny. Dzięki temu znacznie zmniejszyło się ryzyko towarzyszące operacjom ludzi chorych na serce lub starszych.

Wielkim dobrodziejstwem okazała się hipotermia dla chirurgii serca. Normalnie wyłączenie działania serca na okres dłuższy niż 3-6 minut powoduje katastrofę. Serce nie dostarcza bowiem w tym czasie świeżej krwi zawierającej tlen — do mózgu. Mózg zaś tak jest wrażliwy na „głód tlenowy", że już w tak krótkim czasie ulega nieodwracalnym zmianom i człowiek musi umrzeć.

W roku 1950 amerykański fizjolog, Bugelow, udowodnił, iż w stanie hipotermii można wyłączyć bez szkody działania serca u psa na okres nawet 20 minut. Później prof. I. Pietrow z Leningradu przedłużył ten czas do 40 minut. U człowieka, oziębionego do 25 stopni, udaje się wyłączyć działanie serca, bez szkody dla organizmu, do 17 minut. Tak długi czas wystarcza do przeprowadzenia nawet złożonej operacji mięśnia sercowego.

MROŻONE CHOMIKI I... PODRÓŻE MIĘDZYGWIEZDNE

AMERYKANIN, A. Smith, posługując się częściowo metodą Jugosłowianina, Radosława Andżusa, zaczął oziębiać żywe chomiki do temperatury — niższej od zera! W ciągu godziny około 50 procent wody, zawartej w ciele tych zwierząt, ulegało przekształceniu w lód. Pomimo to po odpowiednim odmrożeniu chomiki powracały do życia i cieszyły się zupełnym zdrowiem.

Można się spodziewać, że w ciągu następnych dziesięcioleci metoda hipotermii osiągnie doskonałość. Stanie się wówczas, być może, rzeczywistością zawieszenia życia ludzkiego na okres dziesięcio — a kto wie czy i nie stu — i tysiącleci. Tacy właśnie „zamrożeni" pasażerowie mogliby w przyszłości udać się w podróże do dalekich gwiazd, bez obawy, że nie starczy im życia na pokonanie niezwykłych odległości kosmicznych. Odpowiednia aparatura w odpowiednim momencie przywróciłaby ich do normalnego stanu.

Los rękopisów Żeromskiego

W pracowni konserwacji grafiki i druków dawnych, mieszczącej się w warszawskiej „Zachęcie", prowadzi się pod kierunkiem prof. Bonawentury Lenarta prace konserwatorskie nad rękopisami Żeromskiego, częściowo ocalałymi po Powstaniu Warszawskim.

Odnaleziono je w 1951 r. w czasie odgruzowywania Rynku Starego Miasta, w kamieniczce pod numerem 11, gdzie mieściła się przed wojną drukarnia wydawnictwa Mortkowicza — wydawcy dzieł Żeromskiego. Umieszczone one tam zostały w maju 1944 roku przez córkę pisarza, Monikę Żeromską. Przewiozła je z Konstancina z domu Żeromskiego i ukryła w piwnicy, posiadającej mocne stropy. W czasie Powstania na dom ten padło kilkanaście bomb i skrzynki z rękopisami uległy częściowemu zniszczeniu, dwie całkowicie zaginęły. Jak stwierdzono, zniszczeniu uległy rękopisy „Wiernej rzeki", „Promienia" i części „Sułkowskiego". Rękopisy wielu innych utworów — „Wiatru od morza", „Urody życia", „Dziejów grzechu", „Dumy o hetmanie", „Róży", „Turonia", „Ponad śnieg bielszym się stanę", „Pomyłki" i siedmiu notesów — zostały poddane drobiazgowej, niezwykle żmudnej konserwacji.

Wydaje się, że rękopisy te powinnny znaleźć się w Muzeum Narodowym, lub w przyszłym Muzeum Literatury. Czy nie warto byłoby pomyśleć o Muzeum Żeromskiego w Konstancinie?

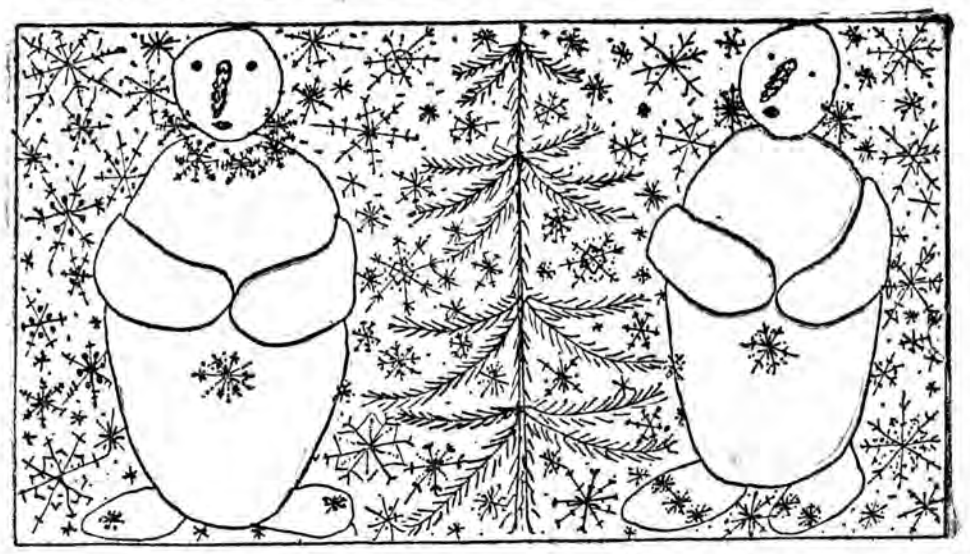

ZUZANNA KUSEK — DWA BAŁWANY NA ŚNIEGU

O ZBIERACTWIE i ZBIERACZACH

doc. FRANCISZEK KOTULA

NA TEMAT pojęcie „kultura" pisano wiele, usiłując je określić i zdefiniować. W artykule nie będzie jednak chodziło o teoretyczne rozważania. Jest bowiem faktem, użyję bardzo prymitywnego porównania, kultura to jakby lina. — Może być grubsza lub cieńsza — a składa się na nią mnóstwo nici czy sznureczków. Najpierw skręcone są grubsze sznurki, te dopiero przechodzą we właściwą linę. Zerwanie jednego sznureczka czy sznurka niewątpliwie osłabia całą linę, która... czasami zużywa się i wówczas następuje katastrofa.

I jeszcze jedno też prymitywne porównanie: tak lina jak i kultura jeśli chcą być mocne muszą być ciągłe wiązania, guzy osłabiają je bardzo.

Ponieważ miejsca niewiele (redaktorzy N. T. wciąż upominają tylko krótko! — Rzeczywiście, jeśli napisze się dłużej, ścinają niemiłosiernie i nie zawsze z sensem) przyjmijmy na słowo honoru: zbieractwo to jeden ze sznureczków w ciągłej linii kultury, a sznureczek ten powinien być również ciągły, wydłużać się przez dodawanie wciąż nowego włókna. Podkreślam przerwanie każdego sznureczka jest osłabieniem całej liny.

Psychologia, stwierdzając u człowieka szereg wrodzonych skłonności nazywając je: instynktami, tendencjami biologicznie wrodzonymi, wyróżnia też „instynkt zbieraczy". I znów nie wchodząc w istotę, jego istnienia przyjmując „ na słowo honoru", przypomnijmy sobie nasze kieszenie i kieszenie naszych kolegów z chłopięcych czasów... Zaglądnijmy oczami pamięci do różnych pudełek, szuflad, pamiętacie? Czego tam nie było? — A właściwie czego tam brakowało. Wydaje mi się, że studia przeprowadzone nad zawartością kieszeni chłopców a późniejszymi ich zawodami, osiągnięciami życiowymi, itd. dałyby ciekawe wyniki.

W tej materii coś autorytatywnego mogę powiedzieć tylko o sobie. Ile razy oberwałem od matki za wciąż dziurawione kieszenie... Z pasją zbierałem widokówki, książki... Pamiętam, przedmiotem mego pożądania była bogato ilustrowana „Historia Polski" będąca własnością mego dziadka (też miał żyłkę zbieracza). I... kiedy dziadek w wieku 78 lat odszedł z tego świata, w czasie lamentu i zamieszania, skradłem się do szafki i książka była moją (o legalności nie mówię) własnością.

Kto zna psychologię zdaje sobie sprawę, że zdolności a więc wrodzone tendencje nie zawsze łatwo się rodzą, ujawniają... Zdarza się to czasem dopiero w dojrzałym człowieku. To samo odnosi się i do instynktu zbieraczego podkreślam, będącego wielokroć glebą, na której mogą wyróść wspaniałe kwiaty nauki czy kultury! Dużą rolę odgrywa tutaj zetknięcie się z cudzą kolekcją.

Niewątpliwie, najłatwiejszą, najtańszą formą zbieractwa jest filatelistyka. Była ona jednak bardzo często jedynie punktem wyjścia do zbieractwa poważniejszego a nawet bardzo poważnego.

Ażeby zrozumieć sprawy czasami złożone należy zacząć od najprostszych. Przypatrzmy się chłopcom — filatelistom. Ileż ta pasja daje im emocji, i trzeba podkreślić szlachetnej i pożytecznej emocji. Wydaje mi się, że filatelista nie będzie chuliganem.

Często spotyka się też kolekcjonerów książek, nie mówiąc naturalnie o naukowych, dla których książka jest narzędziem pracy. Mam na myśli miłośników książek dla nich samych, dla ich specyficznych wartości. Poświęcą dużo, aby upragniony egzemplarz zdobyć. Zebrana kolekcja (o ile się nie rozproszy) często służy wielu pokoleniom. Przykładów na to dużo, bardzo dużo. Szlachetna pasja. Dzięki niej muzeum w Rzeszowie zawdzięcza wiele bezcennych pozycji.

W Polsce od wielu lat działało wielu zbieraczy. Powstało więc szereg wspaniałych zbiorów (Czartoryscy, Zamojscy, Czopski, Jasiński... nie zliczyć) — cennych dzieł sztuki różnego rodzaju. Wiele o tym mogą powiedzeć wszystkie muzea polskie. Pasja zbieracza wyniosła wielu Polaków na szczyty znawstwa i wiedzy, ci z kolei wpływali na otoczenie, zapładniali coraz dalsze kręgi. Tomy o tym można by pisać.

Jak wspomniałem, mogą być różni zbieracze. Wybijają się zbieracze dzieł sztuki, znów różnego rodzaju. Mogą wówczas powstać wspaniałe dokumenty, sztuki, kultury, dokumenty ludzkiego geniuszu, nieraz cenne warsztaty pracy naukowej.

W niektórych krajach człowiek nie mający jakiejś pasji — najpopularniejszą jest tam właśnie zbieractwo — uważany jest za człowieka ułomnego. Czasopisma, jakie do nas docierają świadczą, że ruch kolekcjonerski w całym świecie jest niesłychanie rozwinięty. Dzieła sztuki i kultury są poszukiwane i idą na wagę złota... Handlarze, chcąc nadążyć zapotrzebowaniom, zwrócili oczy głównie na Polskę. Wiele lat buszowali po naszym kraju i wywozili od nas istne skarby za bezcen, zubożając nasz kraj kulturalnie i materialnie.

...jednak nie masz tej mojej spinki od kołnierzyka?

Ostatnio szereg oznak wskazuje, że pod tym względem w naszej polityce kulturalnej nastąpiły i jeszcze nastąpią radykalne zmiany. Bowiem kultura nie znosi przerw, mści się za nie boleśnie. Porwane pasma należy u nas koniecznie powiązać i nici prząść dalej, bez żadnych przerw.

Na zakończenie konkluzja i wnioski. Zbieractwo jest zjawiskiem, funkcją społeczną, dla kultury i jej rozwoju niesłychanie cenną. Ratuje dokumentacje, zabytki sztuki i kultury, zbiera materiały dla wiedzy, dla nauki, uszlachetnia ludzi, tworzy księgi kulturalne, może stać się sensem, pasją życiową. Dlatego... Dobrze więc, by ta szlachetna pasja nadal się rozwijała, żeby znów powstawały zbiory, tworzyły się zastępy miłośników przeszłości, dzieł sztuki i kultury, powstawały odpowiednie towarzystwa, wychodziły czasopisma.

A więc... zbieracze przystąpcie do wiązania porwanych nici.

Nadesłane

SZANOWNY REDAKTORZE!

W związku z artykułem „O ochronie zabytków archeologicznych w woj. rzeszowskim" zawiadamiam, że niedawno zakończona została szósta kampania wykopaliskowa na terenie znanego grodziska Wietrzno — Bóbrka nad Jasiołką, niedaleko od Dukli, na górze wzniesionej 425 m npm. Gród ten był broniony od zachodu przez cztery potężne wały. Na majdanie jego odkryto w poprzednich latach ślady gęstej zabudowy. Rezultaty ostatnich badań potwierdziły dotychczasowe ustalenia, dotyczące historii obiektu i dodały szereg niezmiernie cennych materiałów i spostrzeżeń.

Stwierdzono na przebadanym obszarze liczne ślady najstarszej fazy zamieszkiwania tego wzgórza w postaci ułamków naczyń tzw. kultury łużyckiej sprzed około 2.500 lat. Z tego czasu najprawdopodobniej pochodzi także pięknie zachowana żelazna siekierka z tulejką należącą do unikatowych znalezisk na naszych ziemiach. Uzyskano również wiele danych odnośnie drugiej, głównej fazy zamieszkiwania grodu. Nowe materiały ceramiczne i metalowe każą jeszcze pewniej kłaść początek grodu wczesnopiastowskiego na koniec wieku X, a więc na czasy panowania Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Gród ten, zwany zapewne Wietrznów, w ciągu swych około 100 lat istnienia był bardzo ważnym punktem obronnym na południowo-wschodnich kresach państwa polskiego i strzegł drogi na Przełęcz Dukielską, wówczas ważnej arterii handlu z Węgrami.

W czasie ostatniej kampanii wykopaliskowej odkryto na terenie między wałem II i III ślady niedużej budowli mieszkalnej (palenisko, podłoga(?) z gliny) oraz uzyskano liczne dane dotyczące końca użytkowania grodziska w postaci śladów spalenia wałów i może wieży obronnej stojącej w punkcie styku wału II i III od północy. Znaleziono także w fosie wału II kilka grotów strzał łuku typu szczególnie ulubionego przez ludy koczownicze. Groty te musiały się tu dostać najprawdopodobniej w czasie oblężenia grodu.

Wyniki badań z lat poprzednich wraz z wynikami tegorocznych badań, stawiają grodzisko w Wietrznie — Bóbrce w rzędzie najlepiej zbadanych grodzisk małopolskich — obok Wawelu i Wiślicy.

mgr ZENON WOŹNIAK

RZESZOWSCY PLASTYCY

Jadwiga Dzi ędzielewicz

Co to za malarstwo? Jaki jest jego cel i czy można to w ogóle nazwać obrazem?

Oto pytanie jakie zadają nam często ludzie, dla których obraz nowoczesny jest niezrozumiały a wszelkie nowatorstwo w sztuce uważają za niepotrzebne i wręcz szkodliwe. Zapatrzeni z zachwytem w „starą szkołę”, nie doceniają olbrzymiego nieraz wysiłku artysty, którego malarstwo nie idzie po ścieżkach wydeptanych i łatwych, który odważnie podjął walkę z naturalizmem i wszystkim, co przypomina mieszczański realizm XIX w.

Odwaga z jaką do sztuki wprowadzane są nowe tendencje, jest jedną z najcenniejszych cech dzisiejszego artysty, a jego pasja odkrywcza zawiera nowe horyzonty. Obraz, którego płaszczyznę malarz rozwiązał łącząc logikę kompozycyjną z harmonią formy i koloru jest dobry, a jeżeli formy te są nowe — tym lepiej. Śmiałe wizje malarskie zrealizowane przez artystę są jego przeżyciem i wzruszeniem, które przekazuje innym. Nie należy przechodzić obok tego obojętnie, a w żadnym wypadku potępiać. Miejmy nadzieję, że przez częste wystawy i dyskusje, malarstwo to przemówi kiedyś do wszystkich.

Dzędzielewicz

KSIĄŻKI — KSIĄŻKI — KSIĄŻKI

Około 300 tytułów obejmuje plan wydawniczy „Czytelnika” na rok 1958

Jak wynika z ustalonego już planu edytorskiego „Czytelnika” na 1958 rok — nakładem tego wydawnictwa ukaże się około 300 pozycji książkowych, tak z zakresu klasyki, jak i współczesnej literatury pięknej. Będą zarówno utwory pisarzy polskich, jak i zagranicznych.

Z dziedziny literatury polskiej ukażą się m. in.: **„Opowiadania”** B. Czeszki, 10-tomowe **„Dzieła”** — J. Iwaszkiewicza, **„Opowiadania”** — Z. Kossak-Szaikowskiej, **„Najgorsze chwile mojego życia”** — M. Jarochowskiej, **„Szu-haj”** — J. Neverlego, **„Ucieczka”** — J. Stryjkowskiego, **„Strach”** — J. Pytlakowskiego, **„Opowiadania”** — A. Rudnickiego, **„Pisma publicystyczne”** — M. Dąbrowskiej, **„Recenzje teatralne”** — A. Słonimskiego, **„Wybór wierszy”** — B. Jasińskiego, **„Poezja”** — S. Karpińskiego, **„Cicer cum caule”** — J. Tuwima oraz praca zbiorowa — **„Wspomnienia o Gałczyńskim”**. Z cyklu „Biblioteka XX-lecia” wydane zostaną m. in.: **„Historia jednego podwórza”** — Z. Bartkiewicza, **„Demon ruchu”** — S. Grabińskiego, **„Dwa księżyce”** — M. Kuncewiczowej, **„Klejnoty”** — W. Perzyńskiego i **„Pożegnanie jesieni”** — S. Witkiewicza.

Spośród przekładów radzieckich warto wspomnieć m. in. o zamierzonym wydaniu książek: **„Miejsce pod słońcem”** — W. Inber, **„Maszyny i wilki”** — B. Pilniaka, **„Opowiadania znad Donu”** — M. Szołochowa, **„Poszukiwania i nadzieje”** — B. Kawierina, **„Niezwykłe przygody Julio Jurenito”** — I. Erenburga i **„Cichy Don”** — M. Szołochowa (już siódme z kolei wydanie powojenne).

Lista książek — przekładów z języka angielskiego obejmuje m. in. tytuły: **„Wielki Gaosby”** — F. S. Fitzgeralda, **„Córka Homera”** — R. Gravosa **„Tajemnica jeziora”** — R. Chandlera, **„Mieć albo nie mieć”** — E. Hemingway'a, **„Cztery opowieści”** — H. Jamesa, **„Dublińczycy”** — J. Joyce'a, **„Historia pana Polly”** — H. G. Wellsa **„Ulica nadbrzeżna”** i **„Księżyc zaszedł”** — J. Steinbecka, **„Opowiadania”** — W. Saroyana.

Literaturę niemiecką reprezentować będą: **„Opowiadania”** — H. Bölla, **„Berlin — Alexanderplatz”** — A. Döblina, **„Żydówka z Toledo”** — L. Feuchtwangera, **„Henryk IV u szczytu sławy”** — H. Manna, **„Lotta w Weimarze”** i **„Ostatnie nowele”** — T. Manna, **„Czarny obelisk”** — E. M. Remarque'a, **„Marsz Radetzky'ego”** — J. Rotha.

Z literatury francuskiej otrzymamy w 1958 r.: sporo książek H. Balzaca, **„Poglądy księdza Hieronima”** — A. France'a, **„Trzy nowele”** — S. Becketta, **„Ciasna brama”** A. Gide'a, **„Nadzieja”** — A. Malraux'a, **„Kłębowisko żmij”** i **„Snobi”** — F. Mauriaca, **„Mur”** — J. P. Sartre'a, **„Kronika rodu Pasquier”** — G. Duhamela.

KSIĄŻKI — KSIĄŻKI — KSIĄŻKI

OKOŁO 200 TYS. PRZYSŁÓW ZAWIERA NOWA KSIĘGA PRZYSŁÓW POLSKICH

Ostatni zbiór przysłów polskich — „Księga Przysłów Polskich” S. Adalberga ukazała się w r. 1894. **W pół wieku** później, w roku 1954 ukonstytuował się zespół redakcyjny „Nowej Księgi Przysłów Polskich” z prof. Julianem Krzyżanowskim na czele. Pierwotnym zamiarem zespołu było przeredagowanie i uzupełnienie „Księgi Przysłów” Adalberga, wkrótce okazało się, że jest to koncepcja zbyt wąska, że Księga Adalberga jest dziełem już przestarzałym, posiadającym wiele luk, nie obejmującym całości materiału.

Komitet redakcyjny postanowił zredagować „Nową Księgę Przysłów Polskich”. Powołano zespół czytelniczy, który przewertował literaturę polską od Biernata z Lublina po pisarzy współczesnych włącznie. W ciągu 9 miesięcy zespół ten przewertował prawie 400 tys. stronic lektury, wyławiając z niej około 114 tys. przysłów i zwrotów przysłowiowych. Z innych źródeł, m. in. od współpracowników, korespondentów zespołu redakcyjnego rozsianych po całej Polsce, zebrano jeszcze kilkadziesiąt tysięcy przysłów.

Maszynopis redakcyjny będzie w całości gotów w październiku 1958 roku. „Nową Księgę Przysłów Polskich” wyda PIW w 1959 roku.

Słowniczek Literacki

(Ciąg dalszy)

*OJCIEC I SYN, starszy i młodszy, senior i junior, ainé i jeune — oto określenia dodawane po nazwisku pisarzy dla odróżnienia dwu generacji literackich. We Francji są np. dwaj bracia — pisarze nazwiskiem Rosny, starszy Józef Henryk i młodszy Justyn. Starszy jest członkiem Akademii, wobec czego pod pis jego na karcie tytułowej książki brzmi: „J. H. Rosny ainé de l'Academie Française”. **Na jednym z przekładów tego pisarza na język polski widnieje** na karcie tytułowej: „J. H. Rosny, starszy członek Akademii Francuskiej” (autentyczne).*

OKSYMORON polega na połączeniu w jeden zwrot dwu przeciwstawnych sobie pojęć. Oksymoroniczne jest znane powiedzonko: „milcz, gdy do mnie mówisz”. W poezji oksymoron występuje bardzo często, np. „słodka gorycz”, „tętniąca cisza”.

PADWAN lub PADWANEK — to w poezji staropolskiej nazwa wiersza mi łosnego, pieśni erotycznej.

PALINDROM, wyraz, który albo daje to samo brzmienie, czytany od lewej do prawej i od prawej do lewej — np. „kajak”, „radar” — albo brzmienie inne, lecz stanowiące również wyraz — np. „kark - krak”, „Akbar - Rabka”, „wór - rów”. Palindrom daje niekiedy brzmienie kilku słów, np. „Zakopane” - „e, na pokaz” lub „Nowy Targ” - „graty won!!”.

(Dalszy ciąg nastąpi)

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Zagubione obłoki

(proza poetycka)

Popołudniu wiatr naniósł czarnych chmur i od strony lasu lunął deszcz. Skośnymi strugami ciął nieustannie ziemię. Jodłowe lasy stały się jeszcze bardziej czarne — i zwarte. Strumienie górskie przybrały natychmiast i niosły w dół spienioną wodę. Gdy burza ucichła, nad lasami — w dolinach i wąwozach — szamotały się jeszcze białe chmury które opadły nisko i już nie mogły wyjść z dolin otoczonych ścianami lasu. Nawet gdy słońce ukazało się zza horyzontu, zagubione chmurki stały długo i bezradnie w wąwozach, jak biały dym...

FILATELISTYKA

nr 2

NOWE ZNACZKI W OBIEGU

Zarządzeniem Ministra Łączności z dnia 9 listopada ubr. wprowadzono do obiegu lotnicze znaczki pocztowe wartości: 90 gr, 1.50 zł, 3.40 zł, 3.90 zł, 4 zł i 15 zł.

Rysunek znaczka 90 gr o różowym tle i konturze ciemnobrązowym przedstawia fragment huty „Pokój”.

Rysunek znaczka wartości 1.50 zł przedstawia fragment placu Zamkowego w Warszawie z kolumną Zygmunta III, która została wzniesiona w 1644 r. przez nadwornego budowniczego króla Władysława IV — Constante Tencalla, zniszczona w 1944 r., a zrekonstruowana w roku 1950.

Jarosław Krywiak

LUDOMIR MAZELA

DEBIUTY LITERACKIE

* * *

Płynie przeze mnie
srebrny strumień poezji
ja tylko słucham
tylko słucham
a on niesie wszystkie melodie
jakie powstały między ziemią i niebem
obrazy ludzi drzew i chmur
krew i płacze ogromne
ja tylko słucham
łowię niewodem serca
przesiewam przez czułe palce
poezji strumień
rwący
burzliwy
srebrny

PO CO?

Kierownik Samopomocy Chłopskiej w Wólce opowiada dowcip. Wszyscy pracownicy pokładają się ze śmiechu. Tylko jeden urzędnik milczy. Zapytany przez kolegę dlaczego się nie śmieje, odpowiada:

— Po co? Pierwszego i tak odchodzę...

NIE DO WIARY

Rozmawiano raz w obecności Bernarda Shawa o pewnym dramaturgu i pewnej damie, o których krążyły wersje, że pozostają ze sobą w bardzo intymnych stosunkach.

— Nigdy w to nie uwierzę — oświadczył Shaw — u niego śpi tylko publiczność.

IDEALNA

Mam idealną sekretarkę. Na jej dyskrecji mogę polegać. Po pierwsze nie rozumie tego co pisze, a po drugie nie pamięta tego co napisała.

ODKRYCIE

— Natura jest jednak wspaniała — zwraca się mąż do żony. Miliony lat temu wiedziała, że przyjdzie dzień, kiedy ludzkość zacznie nosić okulary.

— Nie rozumiem co chcesz przez to powiedzieć?

— No, spójrz tylko, jak nasze uszy są przystosowane do okularów!

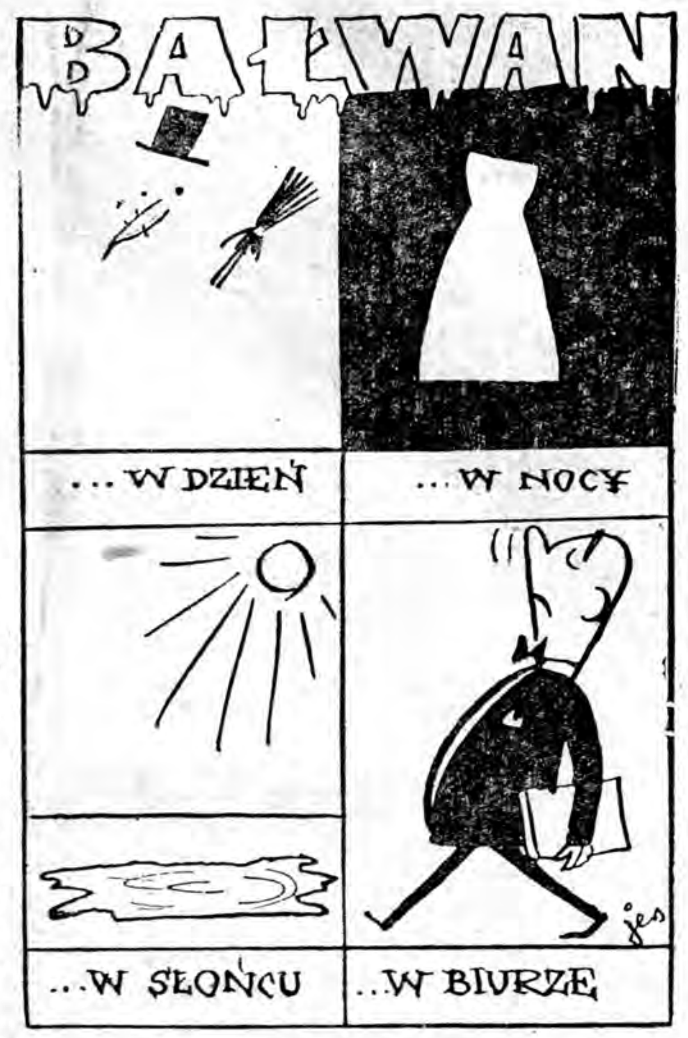

rys. JERZY SIENKIEWICZ

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ

KRZYŻÓWKA MAGICZNA

nadesłał Kazimierz Pach z Porąbki Uszewskiej (woj. Krakόw)

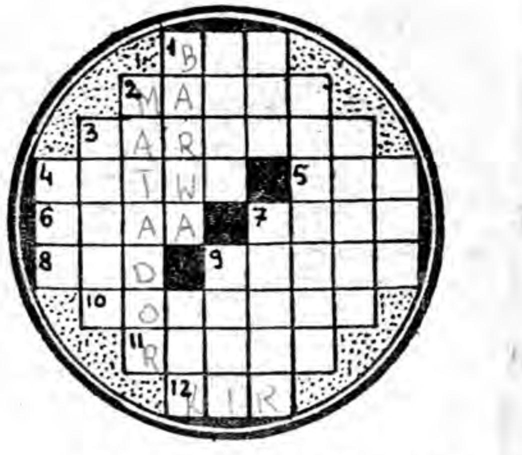

(W krzyżówce tej — podobnie jak w innych figurach magicznych — wszystkie wyrazy powtarzają się w kierunku pionowym).

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. koloryt obrazu, 2. wzór, 3. morderca byków, 4. całkowity (w językach zachodu), 5. jak (w jęz. słowiańskim), 6. wolna posiadłość ziemska, 7. sędzia u Turków, 8. część nazwiska kompozytora czeskiego o imieniu „Oskar” 9. nieżyt, 10. najmobiorca, 11. wynalazek XX w. ważny w nawigacji, 12. żałobna tkanina.

KALAMBURY

I. Gdy ciecz najzwyklejsza
ogniem raź,
To trzpiota zobaczysz w tym
okazie.

II. Rzemienia jedzenie
W pojazdach się pleni.

SZARADKA

PIERWSZA-DRUGA tkwi we
flaszce,
TRZECIA-CZWARTA coś z
podróży —
CAŁA — niedopatrzeń szuka,
Ma z błędami kłopot duży.

Za trafne rozwiązanie przynajmniej jednej z tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: Oddział „Nowin Rzeszowskich” w Przemyślu, ul. Waryńskiego 15 z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe” — przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody (bony książkowe).

ROZWIĄZANIA I NAGRODY:

Z nr 42 (386)

LOGOGRYF: „Hamlet — Makbet” (hamak, atak, mak, bal, eter, Tatry).

FIGIELEK: Biorąc pod uwagę geometryczne podobieństwo figur ciała ludzkiego rozumujemy, że ojciec powinien być cięższy do ośmiu razy, zaś na mrozie rychlej zmarznie synek, gdyż na każdy centymetr jego ciała przypada większa powierzchnia styku z zimnym powietrzem.

ŁAMIGŁÓWKA: Były 4 stoliki. Przy pierwszym siedziały 2 osoby (1 uścisk), przy drugim — 3 osoby (3 uściski), przy trzecim jak poprzednio, przy czwartym 5 osób (10 uścisków) — razem 17. Jest to jedno z możliwych rozwiązań.

Nagrody wylosowali: I. Jadwiga Magnowska — Jasło, II. Jadwiga Dull — Rozwadów, III. Alicja Frącz — Stalowa Wola.

Nagrody autorskie otrzymali: Teresa Palczyńska — Tarnobrzeg i Kazimierz Rostek — Pysznica.

Z nr 43 (387)

SZYFROGRAM: „Ma cztery rogi, a lata
wzór biorąc z wielkiego brata” (sputnik).

SZARADKA: „Satelita” (lisa, teta).

Nagrody wylosowali: I. Władysław Stachniczek — Łańcut, II. Zdzisław Kaliszczuk — Bydgoszcz, III. Helena Kocół — Rzeszów (L. dz. 3718/10/ /Kult/57).